

# Czy jest nas za dużo?

22 czerwca 2011

Czy jest nas za dużo? Czy należałoby kontrolować liczbę urodzeń? Według jakich kryteriów? Dokonywać selekcji przed i w chwili narodzenia? Czy raczej promować dzietność, jaka by nie była jakość rodziców i ich zdolność do wychowania swoich dzieci? Czy człowiek ma prawo ingerować w proces prokreacji? Oto pytania, które od początków swego istnienia, w świetle aktualnych norm kulturowych i moralnych, stawiają sobie zorganizowane państwa.

W 2008 r. widmo przeludnienia znów zaczęło straszyć. Przyczyną jego powrotu było przejściowe nadwyżerzenie światowych rezerw żywnościowych, jak również postępująca coraz szybciej degradacja środowiska naturalnego. Rzut oka na statystyki nie napawa optymizmem: na świecie każdego dnia przybywa 218 tys. osób do wyżywienia, co daje 80 mln każdego roku – prawie 7 mld mieszkańców naszej planety konsumuje coraz więcej... być może z czasem będzie to więcej, niż ta planeta jest w stanie wyprodukować.

## **DŁUGA HISTORIA DEMOGRAFICZNYCH LĘKÓW**

Ale ludzkość nie czekała początków XXI w., by zacząć się niepokoić przeludnieniem. Cztery wieki przed naszą erą, gdy świat zamieszkiwało niespełna 200 mln ludzi, Platon i Arystoteles zalecali państwu ścisłe reglamentowanie liczby narodzin; pojęcie przeludnienia jest bowiem raczej kwestią kultury niż liczb. Od biblijnego „łączcie się w pary i rozmnażajcie się” nie ustają spory pomiędzy przeciwnikami i zwolennikami kontroli przyrostu naturalnego. Pierwsi z nich nazywają przeludnienie bajką, drudzy ostrzegają przed jego skutkami.

Bardzo długo nie dysponowano żadnymi statystykami na ten temat. Nie mogąc znaleźć oparcia w wiarygodnych danych

liczbowych, dyskusja przybierała zwykle charakter filozoficzny, religijny czy polityczny. Ale nawet dzisiaj, mimo iż dysponujemy masą sprawdzonych danych, strony sporu nadal występują przede wszystkim jako rzecznicy przeciwnych sobie orientacji ideologicznych i religijnych. Kwestia przeludnienia dotyka fundamentalnych przekonań na temat życia i jego wartości. Dlatego też wywołuje takie emocje.

Przez tysiąclecia obawiano się zwłaszcza zbyt małej liczby narodzin. Mimo to w pewnych momentach regiony i całe państwa, jak Europa pod koniec XIII i na początku XIV w., borykały się z przeludnieniem – oczywiście względnym – które nawet teologów skłaniało do złagodzenia zajmowanych w tej kwestii pozycji. Wiele miejsca w debacie poświęcano moralnemu nakazowi czystości i „wyższości dziewictwa”, a z drugiej strony problemowi dopuszczalności środków i praktyk antykoncepcyjnych. Wreszcie nad całą dyskusją długo ciążył biblijny zakaz onanizmu („przestępstwa Onana”, który wylewał swoje nasienie na ziemię).

Wydawałoby się, że 40 tys. lat temu, gdy całą Ziemię zamieszkiwało jakieś pół miliona ludzi, groźba przeludnienia jeszcze nie istniała. A przecież każdy myśliwy potrzebował przestrzeni życiowej, która zapewniała mu stały dostęp do zwierzyny: średnio od 10 do 25 kilometrów kwadratowych na osobę, co poważnie ograniczało rozmiary każdej grupy. Grupa powyżej 25-50 osób żyjących wyłącznie z polowania i zbieractwa narażała się na poważne problemy z wyżywieniem. Przeludnienie jest pojęciem względnym, ściśle zależnym od dostępnych zasobów. Choć popularne jego wyobrażenie to nieodmiennie ludzie ściśnięci jak sardynki na o wiele dla nich za małej przestrzeni.

## **OD PLATONA DO TYTUSA LIWIUSZA**

Liczba wkrótce staje się obsesją. W greckich państwach-miastach ukształtowanie terenu narzuca separację: każda wieś staje się osobną osadą, jedną z wielu komórek o ograniczonych

rozmiarach, gdzie tłok odczuwa się bardzo silnie; ta sytuacja sprzyja zdaniu sobie sprawy ze znaczenia czynnika demograficznego. Klimat polityczny nie sprzyja wzrostowi dzietności.

W swoich dwóch głównych dialogach, Państwie i Księdze Praw, Platon definiuje optymalną populację w zależności od dostępnych zasobów oraz opisuje sposoby zorganizowania i funkcjonowania społeczeństwa – często sięgając granic tego, co realnie wykonalne – konieczne, by osiągnąć ten cel. Podobnie czyni Arystoteles w Polityce: „To nie mnogość mieszkańców decyduje o wielkości miasta.” W każdym razie jego zdaniem „zbyt wielka ich liczba uniemożliwia utrzymanie porządku: gdy jest zbyt wielu obywateli, nie sposób ich kontrolować, a ludzie się nie znają, co sprzyja przestępczości. Co więcej, cudzoziemcom i metekom (metojkom) łatwo jest wówczas podawać się za obywateli i pozostają niezauważeni z powodu swojej zbyt wielkiej liczby”. A poza tym dużo ludzi to dużo biednych i większe niebezpieczeństwo rozruchów. Arystoteles troszczy się zatem nie tyle o dostępność żywności i innych dóbr, co o utrzymanie porządku. Już w greckiej myśli demograficznej znajdujemy kategorie, w których ta dyskusja toczy się także i dzisiaj. Pozostaje eugeniczna, maltuzjańska i... ksenofobiczna!

Wraz z rozszerzaniem się rzymskiej dominacji zmiana ulegała skala, ale niekoniecznie mentalność. Polityka kolejnych rządów zasadniczo wspierała wysoką dzietność – to nowość, a przy tym niepowodzenie, bo Rzymianie zawsze pozostawali mniej płodni niż inne cywilizacje, jak poświadcza Tytus Liwiusz: „Galia jest tak bogata i tak gęsto zaludniona, że jej ludność, zbyt liczną, trudno było utrzymać. Król, już stary, chcąc uwolnić królestwo od ciężącego mu mnóstwa, posłał dwóch ze swoich siostrzeńców, by znaleźli nowe ziemie.” To polityczna propaganda: zbyt liczni, Galowie zaatakowali swoich sąsiadów Rzymian, co usprawiedliwia inwazję na Galię.

**OD CHRZEŚCIJAŃSKIEJ DWUZNACZNOŚCI DO MALTUZJAŃSKIEJ PEWNOŚCI**

Wraz z przyjęciem chrześcijaństwa, między III a V wiekiem naszej ery, władze przestają w ogóle interweniować na tym polu. Kwestia prokreacji przechodzi z dziedziny obywatelskiej i politycznej do rejestru religijnego i moralnego. Trwa debata wokół zasług dziewictwa, ukazywanego jako najwyższa cnota, i małżeństwa, które deprecjonuje się na korzyść ascetyzmu, i ponownego małżeństwa, które się potępia. W tej surowej atmosferze mimo wszystko stawia się pytanie: zaludniać czy wyludniać? Być płodnym czy nie? Dla chrześcijan oczywiste jest, że odpowiedź znajdą w Piśmie Świętym. Ale Pismo wydaje się samo sobie przeczyć... Ojcowie Kościoła pracują nad wykazaniem, nieraz dzięki prawdziwym retorycznym akrobacjom, że to sprzeczności pozorne, i że Bóg ma tylko jedno słowo, nawet jeśli nakazał Adamowi i Ewie, by się mnożyli, a następnie w Nowym Testamencie mówi ustami św. Pawła: „Dobrze jest, gdy mężczyzna powstrzymuje się od współżycia z żoną”. Zadanie nie jest proste, ale dla teologów nie ma nic niemożliwego. Za to w Starym Testamencie nie ma żadnych dwuznaczności: „łączcie się w pary, mnożcie się, bądźcie płodni.” Przynoście obfite owoce...

Względne przeludnienie średniowiecza ma bardzo konkretne skutki. Od końca XI wieku ludzie Zachodu potrafią wykorzystać wagę liczby. Zdają sobie sprawę ze swojej liczebnej przewagi i czynią z niej broń. W 1095 r. papież Urban II wysyła rycerskie hordy na Jerozolimę. Cała epopeja krucjat jest podtrzymywana przez nieustanny dopływ ludzi z Zachodu, który byłby niemożliwy, gdyby nie demograficzna nadwyżka w łonie chrześcijaństwa.

I tak kręci się świat zachodni aż do początków XIX w., ludzie Kościoła, intelektualiści, teologowie, filozofowie i pisarze teoretyzują na temat kwestii demograficznej, nawigując pomiędzy strachem przed masą a przerażeniem wizją wielkiej pustki, demograficznymi utopiami a niezachwianą wiarą w boski porządek i ten z jego wymiarów, jakim jest nasza obecność na Ziemi. Vulgum pecus, lud, jest postrzegany już to jako zaraza,

już to jako bogactwo. Każdy z autorów rozwija swoje wyjaśnienia i formułuje zalecenia, choć narzędzia statystyczne wciąż są bardzo zawodne. Nieurodzaj i klęska urodzaju: przez wieki trwa bitwa pomiędzy tymi, którzy jedno bądź drugie uważają za bardziej niebezpieczne dla przetrwania rodzaju ludzkiego.

## **LICZY SIĘ SPOSÓB ROZDZIELANIA BOGACTW**

Powstałe na przełomie XVIII i XIX w. dzieło Thomasa Malthusa jest przełomowym wydarzeniem w historii teorii demograficznych. Liczba ludności, twierdzi brytyjski ekonomista i pastor, wzrasta o wiele szybciej niż tempo produkowania żywności, co nieuchronnie doprowadzi do przeludnienia i głodu na wielką skalę. Albo nie będziemy interweniować, a konsekwencje będą bardzo bolesne, bo natura sama wyeliminuje „ludzką nadwyżkę”, albo będziemy kontrolować przyrost naturalny, zaczynając od zniesienia wszelkiej pomocy dla biednych, aby „nauczyć ich odpowiedzialności” – przy czym przez „odpowiedzialne” zachowanie uważa się pobieranie się i posiadanie dzieci dopiero wtedy, gdy ma się środki na ich wyżywienie i wychowanie. Zdaniem Malthusa szerzenie się nędzy stanowi ryzyko dla całej ludzkości; trzeba zatem położyć jej kres.

Pierre-Joseph Proudhon odpowiada, że problem przeludnienia nie istnieje. Przyczyną szerzenia się nędzy jest niesprawiedliwy system własności, który niektórym ludziom przyznaje nieuzasadnioną władzę nad innymi. Karol Marks, który niemal wcale nie interesuje się kwestią demograficzną jako taką, uważa Malthusa za wroga klasy robotniczej i nazywa go „bezczelną papugą klas uprzywilejowanych, winnym grzechu przeciwko nauce i zniesławiania rodzaju ludzkiego”. Wyrzuca mu wiarę w „zasadę przyrostu naturalnego”, absolutne prawo naturalne, zachowujące ważność zawsze i wszędzie, zgodnie z którym liczba ludności miałaby zawsze rosnać szybciej niż potrzebne jej zasoby: „To abstrakcyjne prawo przyrostu naturalnego istnieje tylko dla roślin i zwierząt, dopóki w ich

życie nie wmiesza się człowiek. Liczy się nie liczba istot ludzkich, ale sposób rozdzielania bogactw.”

## **DEMOGRAFICZNA REWOLUCJA ZAPRZECZA PRZELUDNIENIU**

Te spory trwają aż do połowy XX w., gdy liczba mieszkańców świata zaczyna rosnać w szalonym tempie: 3 mld ludzi w 1950 r.; 6 mld w 2000 r. To już nie wzrost, to eksplozja. Demografowie, ekonomiści, geografowie, ale też filozofowie, historycy, etnologowie, i oczywiście politycy, łamią sobie głowę nad interpretacją tego zjawiska. Obrońcom mnożącego się życia, lekceważącym jego jakość, realności perswadują konieczność opanowania prokreacji. Jedni zaprzeczają samej idei przeludnienia, mówiąc o rozwojowych nierównościach; drudzy oskarżają natalistów o fanatyzm, w wyniku którego setki milionów ludzi umierają z głodu. A od lat 1980. w tych sporach pojawia się nowy czynnik: galopujące zanieczyszczenie środowiska.

Na początku nowego wieku antymaltuzjaniści uspokajają, opierając się na oznakach trwającego właśnie demograficznego przeskoku: wskaźniki dzietności spadają wszędzie, także w krajach najuboższych. To wydaje się potwierdzać tezę o „demograficznej rewolucji”, wysuniętą przez Adolpha Landry’ego w 1934 r., zgodnie z którą w tej chwili, wobec ogromnego przyspieszenia produkcji wszystkich dóbr, problem stosunku pomiędzy populacją a dostępnymi zasobami został pokonany. Od teraz optimum, jeśli chodzi o liczbę ludności, powinno wyznaczać kulturowe pojęcie „szczęścia”, pojęcie jakościowe, a nie ilościowe.

I tak około roku 2050 będzie nas ok. 9 mld, a w 2150 r. liczba ta ustabilizuje się na 10 mld. Skoro ta planeta, jak zapewnia większość demografów, może wyżywić 10 mld mieszkańców, jak może być „przeludniona” przy 7 mld? Jeśli w tej chwili żyje na niej miliard niedożywionych osób, a dwa razy tyle pędzi swoje dni w ubóstwie, może to, mimo wszystko, skutek złego podziału dostępnych zasobów. Ale czy chcemy, by było nas 10 mld? Tłum,

nawet dobrze odżywiony, pozostaje tłumem...

W 1997 r. Salman Rushdie napisał List do 6-miliardowego obywatela świata, który miał się wkrótce narodzić: „Jako najmłodszy członek nadzwyczaj ciekawego gatunku, zadasz sobie wkrótce dwa pytania za 64 tys. dolarów [przybliżone PKB na osobę w Stanach Zjednoczonych], które pozostałe 5 999 999 999 osób stawia sobie już od jakiegoś czasu: jak tu trafiliśmy? A skoro już tu jesteśmy, jak mamy tu żyć? Z pewnością podpowiedzą ci, że odpowiedź na pytanie o nasze pochodzenie wymaga, byś uwierzył w Istotę niewidzialną, niewysłowioną, we wszechmocnego stwórcy, którego my, biedne stworzenia, nie możemy dostrzec, a co dopiero zrozumieć... Z powodu tej wiary w wielu krajach nie można było zapobiec alarmującemu wzrostowi liczby ludności. Przeludnienie naszej planety jest przynajmniej po części wynikiem szaleństwa duchowych przewodników ludzkości. W czasie swojego życia będziesz zapewne świadkiem pojawienia się 9-miliardowego obywatela świata. A jeśli zbyt wielu ludzi rodzi się po części na skutek religijnego oporu wobec kontroli urodzeń, wielu też przez religie umiera...”

13 lat później, w 2011, najpóźniej na początku 2012 r. spodziewamy się narodzin 7-miliardowego obywatela świata. Ten malec ma 70% szans urodzić się w jednym z najuboższych krajów, w żyjącej w nędzy rodzinie. Powinniśmy mu wysłać list powitalny, czy może przeprosiny?

Autor: George Minois (demograf)

Tłumaczenie: Agata Łukomska

Tekst pochodzi z książki „Le poids du nombre” (Editions Perrin, Paryż 2011)

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)